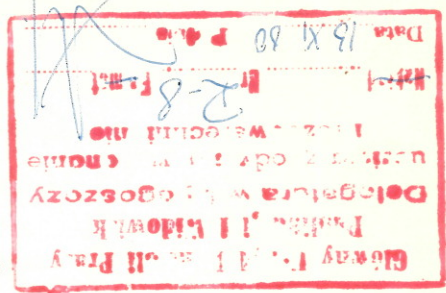


Władysław Dunarowski
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 16.XI.1980 r.
Godz. 16.05 - 17.30

211



NOWA ERA NASŁONECZNIENIA
=====

Zapowiadano wiele: idealna cisza, słońce, czysta rzeka, mleko prosto od krowy, a w powietrzu sama nieskazitelna czystość, że ust nie zamykać tylko wdychać, wdychać - na zapas, na dziś, jutro, na cały rok miejskiego bytowania w ciasnych klatkach wytęsknionego em trzy lub cztery, co zresztą jest bez znaczenia. Słowem - sielanka, folklor, chatynka w malwach, może nawet strzechą kryta i tym bardziej urokliwa. Że tylko usiąść pod tą zapowiadzianą gruszą, i marzyć, marzyć, w słońcu roztapiać ducha, zapleśniałe myśli oczyścić - pod tą gruszą, pod zieloną, na łonie natury.

Gdzie ona - owa grusza? Nie ma. Chatynki też nie ma. Jest dom piętrowy, murowany, z balkonami, łazienką. Wody ciepłej jeszcze nie ma, może na drugi rok. Od razu nie można wszystkiego, budowa kosztuje, a ile to trzeba się nagonić, żeby zdobyć materiał, jest materiał, to goń za majstrami, kłaniaj w pas, bo teraz wszyscy panowie, a ci od budowy szczególnie się cenią.

Mój pokój ma wyjście na taras balkonowy, skąd rozległy widok na wieś. Piękne dwa jawory, smukły jesion z koronką jasnozielonego listowia, świerk wpychający konary na balustradę tarasową, każą zapomnieć o gruszy. Podobno była kiedyś, stara babka wspomina o niej, nawet z westchnieniem, bo dobry owoc rodziła, gruszki duże, żółtawe, a jak trochę poleżały na sianie, sam miód z nich kapał. Wykarczyl drzewinę, powiedzieli, że szpeci widok. Posadzili co innego. Widoku im się zachciało. I niech mi kto powie, jaki pożytek z tego świerka? Leśne drzewo, w lesie mu pasuje, tam jego królowanie nie tu. Czasem halny nadleci, wtedy świerk tłucze gałęziami po tarasie, że strach. Kto lękliwy, nie wytrzyma, ucieknie.

Obawy staruszki zbywam uśmiechem. Stąd uciekać? Niechże babcia podejdzie bliżej i spojrzy na świat przez te jawory. Uciekać? Dokąd? Gdzie znajdę piękniejszy widok? Tutaj - słońko czy deszcz...

I z miejsca postanawiam, że całe wczasy poświęcę na rozkoszne leniuchowanie, takie prawdziwie pod gruszą. Nie rozmyślać, nie przejmować się, raz wreszcie posłuchać lekarza, który to mi właśnie zaleca, całkowicie zanurzyć się w dyskretnym szumie jaworów, w ciszy słonecznej, rannym świergocie

ptasich narad, i tak trwać w niebycie, nabierając sił, krzepiąc nerwy i co tam jeszcze.

Niebawem zjawiła się troskliwa p moje potrzeby sąsiadka Olesiowa. Przyniosła zamówione jajka, świeżutkie, jeszcze ciepłe. Wypada coś powiedzieć, tak po ludzku, zwyczajnie, więc załatwiwszy sprawy handlowe, pytam o zdrowie: jak się spało, czy serce nie dokucza. Znając jej wynurzenia z poprzedniej rozmowy, wiedziałem o co zahaczyć. Tym razem Olesiowa zbywa moje pytania lekceważącym ruchem ręki, co miałoby znaczyć: co tam serce... ważniejsze sprawy mam na głowie. Bo Olesiowa do niedawna gospodyni, od paru lat na dożywociu u syna, ale nieustannie przejęta sprawami młodych gospodarzy i całej gospodarki, nieustannie bolejąca z powodu ich dziwnych gospodarskich zamysłów. Początkowo traktowała je jako mrzonki, bo gdzie synowi brać się do czegoś takiego jak budowa szklarni. Do tego potrzeba głowy, pieniędzy i ludzi do pomocy. A on co? Z czym do wielkiej budowy? Myślałam, że tak sobie gadają - on babie opowiada, ile Mokrzałik wziął za wczesne ogórki, ona chwyta każde słowo w nabożnym skupieniu - a potem każde pójdzie do swojej codziennej roboty. Tymczasem, jak widzę, całkiem to inaczej wygląda. O, niech pan spojrzy z tarasu...

277 ✓

niech pan spojrzysz na szosę... Nie mówiłam, że mój syn upadł na głowę! Zamiast pilnować żniw, bo czas niepewny, za słońkiem trzeba gonić jak za złodziejem, jednej minuty nie wolno zmarnować, a jego fura naładowana zbożem stoi na środku szosy. Pewnie spotkał majstra od budowy... tak, to on! Patrzcie, ludzie, akurat teraz się nawinął, teraz narada, gdy zboże pilno zwozić. A nie wiadomo, czy do wieczora wytrzyma bez deszczu. W zeszłym tygodniu też zaczęło ^{nie} od słońka, nawet upał, aż tu nagle grzmot, czarna chmura i do wieczora powódź. Niechże lecę. Przez tę szklarnię gospodarka na nic zmarnieje, gospodarz siły starga, a ja, cóż ja? Stara matka się nie liczy, jej rady to tyle co wczorajszy wiatr. Niechże lecę.

Spoglądam po niebie i stwierdzam, że trochę inaczej świat wygląda niż przed chwilą. Istotnie jakieś cienie wokół słońca, może to zapowiedź deszczu, nowej sloty. Tak, fura ze zbożem jeszcze stoi na szosie. Zaczynam się denerwować, no... ruszyła.

Ten dzień zapowiadał się bajecznie. Śniadanie na tarasie, zalany rannym słońkiem, a równocześnie pełnym rośnej świeżości. Ludzkie sprawy zanikły do zera, nawet moje własne. Rozpływałem się w tym słońku, w tej świeżości pięknego dnia, bliski raczej niebu i smudze mgiełki, ciągnącej się od rzeki. Toteż jej

wtargnięcie do pokoju podziało na mnie niezwykle mroząco.

To się jeszcze nie zdarzyło. Wtargnęła obcesowo, nie zapowiadana, nie wiadomo skąd, z której wsi, usiadła na tapczanie, aby wygodniej było otworzyć węzełek, z którego wyzierał plik zapisanych kart. Czekam cierpliwie, co będzie dalej.

Zaś ona bez skrępowania z miejsca do rzeczy. Chodzi o poradę.

Jeśli się odważyła i przyszła, to powie z czym i po co przyszła. W tych papierach jest jej życie - mówi głosem twardym, nieco chrapliwym - całe życie, jakiego nikt nie przeżył, z jakim się nikt nie zetknął. Dlatego postanowiła opisać swoje życie, niech się ludzie dowiedzą i cały świat, niech się zawstydzą za jej życie, za ten nieszczęsny los, jaki się za nią wlecze od dziecka.

Kobieta-zjawa podnosi głos.

- Przysięgnę na wszystkie świętości, że nikt tego nie przeżył, co ja. Dlatego muszę... Od dziecka matka mię prała kijem, pięścią, nawet nie mówiła, za co mię tłucze. Kura jajko zgubiła, wiatr wyszarpał dziurę w dachu - na mnie się skrupiło. Gdy mię wydali, prał chłop, ale do dziś nie wiem, za co. Może dlatego, że byłam pod ręką i najłatwiej mogli wyladować złość za swoje kłopoty. Muszę się zemścić... muszę opisać to wszystko, niech świat chociaż śliną ich opluje.

- Próbowałam sama... o, tyle kartek co w tym węzełku. Ale czegoś tu brakuje i nie tak wychodzi, jak chciałam. Opisałam, że bili, męczyli, głodem morzyli, do roboty bez kawałka chleba gnali... ale jak potem przeczytałam, to gorzko zapłakałam, że nie wyszło tak jak chciałam. A chciałam, żeby słychać było mój krzyk, moją udrękę, żeby, żeby... no, nic z mojego pisania. To i przyszłam prosić o poradę.

O poradę... Długo to słowo stało przed moimi oczami, przysłaniając zieleni drzew, głuszając szum rzeki, świst wiatru. Znajomi radzili, aby się nie wdawać z taką, która nie wszystko ma w głowie jak należy. Szkoda czasu. Niepotrzebnie wywłóczy baba stare dzieje, może prawdy coś w tym jest, ale co jej się dziś dzieje, mieszka u syna, gospodarz pośredni, coś tam z ziemi wyciągnie, resztę dorobi sobie w mleczarni, gdzie stróżuje. A ta w pisaninę się bawi, książki jej w głowie zamąciły, nawet pośmiać się nie ma z czego. Co innego taka Justysia. I do śmiechu powie i do rozumu. Wszędzie prawdy szuka i sprawiedliwości. Teraz podpisy zbiera przeciw nowej gospodzie i pijaństwu. Na pewno pana nie ominie. Ale z Justysią warto pogadać. Oryginał. Dawniej dzierżawiła og gospodarzy zagon na kapustę, na odrobek, chowała wtedy kozę; dziś

zadowolona, że ma własny kąt, że jeszcze dycha, choć rówieśnice dawno już pod lipami. Z opieki społecznej otrzymuje około tysiąca złotych, lecz nic z tego nie ruszy, składa do kupki, a żywi się po ludziach. Tu poczęstują świeżo upieczonym chlebem, tam zaproszą do stołu, bo akurat byli przy obiedzie, gdy Justysia idąc drogą, pozdrowiła ich przez otwarte okno. Wieś toleruje ją z pobłażliwą życzliwością, a także z obawy, by nie dostać się na jej złośliwy język. Pod tym względem Justysia nie przebiera. Kiedyś nawet nowemu proboszczowi coś się od niej dostało. Zaczepiła go na drodze i bez ogródek wypaliła.

- Wy na proboszcza wcale się nie nadajecie, to ja wam mówię prosto w oczy i otwarcie. Wciąż gdzieś jeździecie, wciąż światem. Wasze szczęście, że drogę przez wieś, do niedawna kamień na kamieniu, w czynie społecznym poprawili, to możecie teraz samochodem wszędzie, dokąd was ciągnie. Trochę w tym mojej zasługi. Dość się nakrzyczałam po wsi, żeby się brali do drogi, bo wstyd przed światem. Gdzie indziej asfaltówki mają, droga jak szkło gładka, a u nas takie wertepy. Nareszcie jest droga. Tylko że wy przez to nie nadajecie się na proboszcza, bardziej na misjonarza. Taki musi objeżdżać

dzikie kraje, taki z wozu nie złazi. Po prawdzie mówię, nie ze złości. Bo na ten przykład... Niechby wypadło umierać w tym czasie, gdy wasz samochód nie wiadomo za którą granicą. Co wtedy? Jak się pozbyć swoich grzechów?

W sam raz byłoby takuśko jak z moją siostrą, tą co umarła tej wiosny. Ją też ciągle światem niosło, jednej chwili nie mogła w domu spokojnie usiedzieć. Razem mieszkaliśmy. A gdym ja raz ciężko zaniemogła, że ani ręką ani nogą ruszyć, ona tyle się mną zajęła, że postawiła mi przy łóżku gromnicę, pudełko zapalek do ręki wetknęła i powiedziała: - Mam pilny interes w drugiej wsi, muszę iść, a ty, gdybyś umierała, to sobie zapal świecę. Tyle potrafisz, po heretycku nie umieraj. I jeszcze krzyknęła na mnie ze złością: - Trzymajże zapalki, kiej ci daję.

U mnie zjawiała się w parę dni potem. Jak mię uprzedzono, chodziło o ułożenie pisma do władz w sprawie zamknięcia gospody, która rzekomo jest rozsadnikiem wszelkiej niemoralności. Zebrała jakiś komitet babski i przyszły w trójkę. Oczywiście Justysia przewodzi całej akcji. Bo temu pijaństwu trzeba raz wreszcie łeb ukręcić. A jak to zrobić, jak pismo ułożyć, sam będę wiedział najlepiej, one nie muszą mię pouczać.

I rozkładają na stole wielką płachtę papieru, na którą patrzą z przerażeniem. Bładość arkusza na pewno przechodzi na moją twarz, skupioną na jednym temacie: jak się wykręcić, żeby nikogo nie urazić. Czy uda się przekonać zadziorną Justysię o pożytku we wsi gospody?

Martwą ciszę przerwał niespodzianie śmigłowiec, jaki przeleciał tak nisko, że omal nie zawadził o czub komina. Kobiety zerwały się i wybiegły na taras.

Któż tam znowu? Sąsiadka, pewnie z jajkami, .. w samą porę, bo z tamtych niewiele zostało. Justysia z komitetem gotowa do odejścia, jeszcze muszę wysłuchać podziękowań za pomoc w tępieniu zła, któremu trzeba jak najrychlej łeb ukręcić. Jutro przyjdą po gotowe pismo, przecież będę wiedział co i jak, nie muszą mi więcej tłumaczyć.

- Pewnie o gospodę chodzi - sąsiadka zwraca się do odchodzących - wiadomo: Justysia musi wiecznie z kimś wojować.

Podsuwam sąsiadce krzesło, ale ona nie widzi krzesła, nie słyszy moich słów, tylko bierze mię za rękę i ciągnie na taras. O, niech pan spojrzy na to pole za przystankiem autobusowym. Taki urodny łan pszenicy, zżęty i wysuszony na dobrym słońku, aż się prosi, aby co prędzej zwieźć do stodoły.

Któż wie, co będzie za godzinę. Takie ziarno zamoczyć... Serce się kraje, gdy o tym pomyślę. Czy ten mój syn oślepił, że tego nie widzi, pojąć nie mogę, co się z nim dzieje. Wstałam rychło świt, zaglądam do ich izby, ale żywej duszy nie widzę. Pewnie już w polu, myślę, i ucieszona pędzę do okna, oczy ślepię, ale bogać tam, w polu pszenica spokojnie schnie, nikt się tam nie rusza, co jest? Jaki wiatr wygnał ich z domu? Dzieci śpią, tylko jedno wygrzebało się z łóżka. Więc pytam: gdzie tata z mamą? Nie wiedzą. To ja głupieję do reszty.

Sąsiad się napatyczył, więc ja do niego, może coś wie. Wiedział. Teraz on się dziwi, że ja domowa nie wiem. Kłopot nielada. Majster do spawania rur przy szklarni przyjechał pierwszym autobusem, i stoi beczynn timer, bo zmówieni wczoraj pomocnicy nie przyszli. Ani jeden... a pięciu trzeba. Taki dziś naród zuchwały. Majster przyjechał, a pomocników nie ma. Więc Marcin z babą jak wściekli gonią za innymi. Wam to dobrze. Zdaliście gospodarstwo synowi, pozbyliście się wszelkiego frasunku, można powiedzieć: macie wieczyste wozasy pod gruszą. Patrzcie na młodych: chcieliby sobie poprawić, mają trochę rozeznania w tym nowym świecie, a tu na każdym kroku jakaś przeszkoda. Zdobył się Marcin na szklarnię, nie było co,

jakby mała fabryka, komin na trzy piętra, ściany ze szkła...
fabryka. Piękna rzecz, nowa, lubię popatrzeć, różne myśli
przychodzą wtedy do głowy... że można by to nasze życie
poprawić, gdyby nie ten feler, ta jedna zadra... Tak trudno
dziś o majstra, a tam siedzi na płocie i czeka. Drugi raz nie
przyjedzie. Jeśli Marcin nie znajdzie tylu pomocników co trzeba,
będę musiał pomóc sąsiadowi, choć mam swoją pilność.

Sąsiadka aż pieni się z irytacji. Tyle się dowiedziałam.
Wieczyste wczasy mi wymawia, że mam spokojne życie, o nic mię
głowa nie boli... Herbaty na otrzeźwienie... nie, dziękuję panu.
Herbata gorąca, a mnie bez tego wszystko parzy; czuję, jak
w środku coś się gotuje, a gdy spojrzę na zżętą pszenicę, gorąco
we mnie kipi, do serca podchodzi. Tyle suchego zboża czeka
w polu na zmarnowanie, gdy synalek gdzieś światem. A co, nie
mówiałam!

Jej okrzyk cofnął mnie do tyłu. Co się stało? Raptowna
zmiana sąsiadki zdumiała mię i przestraszyła. Jakiś złośliwy
uśmiech nagle ożywił jej starczą twarz, zapalił nowego ducha.

- Nie mówiłam... nad lasem za pagórkiem ciemnieje. Stamtąd
zawsze deszcz. Wspomni pan moje słowa. O, druga chmura!

Idzie burza, może nawet gradem rzuci. A taka pszenica...

Wiatr się zrywa. Niech pan zamknie okna, drzwi na taras...

Kobieta ręce składa jakby do dziękczynienia. - Nie mówiłam..

Ale mój głos, mój krzyk jakby ten wiatr. Zagrzmiało. Słysz

pan... zagrzmiało!
